

Papkin, jakiego nie znamy

**Rozmowa z Damianem Damięckim,
aktorem Teatru Polskiego w Warszawie**

- **POSTAĆ** Papkina, przedstawiona przez pana w prezentowanej obecnie w Teatrze Polskim w Warszawie „Zemście” Aleksandra Fredry, w reżyserii Andrzeja Łapickiego, jest niezwykła. Tak zabawnego, a zarazem tak wzruszającego Papkina nigdy jeszcze nie oglądaliśmy. Czy może pan powiedzieć, jak tworzył pan tę rolę?

- Papkina chciałem zagrać zupełnie inaczej od moich znakomitych w tej roli poprzedników. Przede wszystkim chciałem go przedstawić tak bardzo po ludzku. Pokazać jego twarz, niekoniecznie bladeńską. Bo w gruncie rzeczy był to człowiek dobry, z niezwykłą wprost fantazją. Przy tym wszystkim to wspaniały mitoman, jednocześnie człowiek głęboko wrażliwy i czujący. A wyróżniającą go cechą było to, że on rzeczywiście wierzył w to, co podsusowała mu jego wyobraźnia, co tworzył i o czym opowiadał. Te wszystkie jego wymysły, zabawne, szokujące, ale przecież wyssane z palca, są natychmiast odbierane w pierwszej kolejności przez niego samego. On jest przecież wiernym słuchaczem swoich niezwykłych opowieści, które przydają mu pewnej niezwykłości.

- **Otoczenie traktuje go jednak jak błazna.**

- Na tym właśnie polega jego dramat. Przykładem choćby prawdziwa i szczerza miłość do Klary. On ją naprawdę kocha. Ale ma jednak świadomość beznadziejności tego uczucia. Dlatego jest w tej miłości wspaniałomyślny. Potrafi się nawet zdobyć na bezinteresowną radość, gdy okazuje się, że Klara dostaje się młodszemu i przystojniejszemu. Zresztą całe jego życie to nieustanne pasmo niepowodzeń, przed którymi broni się znakomicie swoim talentem, erudycją, sprytem.

- **W tej roli występowało wielu świetnych aktorów. Czy decydując się na Papkina, nie miał pan przed tą tradycją pewnej tremy?**

- Nie było tu tremy, ale chęć uniknięcia powtórzeń. Może to wydaje się i dziwne, ale podświadomie wiedziałem, że kiedyś przyjdzie mi zagrać Papkina, postać, którą naprawdę lubię. Dlatego starałem się w ostatnich latach unikać oglądania tej postaci na scenie, aby nie widzieć, jak grają tę rolę inni aktorzy. Do tworzenia tej postaci przystąpiłem bez żadnych poprzednich jej obrazów, przedstawianych wcześniej na scenie. Starałem się tylko rzetelnie odtworzyć postać, którą z takim bogactwem przedstawił nam Aleksander Fredro. A więc po prostu nie chciałem niczego i nikomu zabierać. W środowisku istnieje zwyczaj mówienia w sposób szczerzy o grze kolegi, naturalnie, jeśli tego sobie życzy. I wówczas jest to ciężkie przeżycie, czasami wręcz upokarzające, kiedy usłyszysz się np. osąd typu: „No, ale to wzięło od Iksińskiego, a to od Igrkowskiego”. I tu mogę naprawdę uczciwie powiedzieć, że w tej roli nic od nikogo nie wzięłem. Niezależnie więc, czy się to komuś nie podoba, czy podoba i ma jakiś sens, wszystko to biorę na własną odpowiedzialność.

- **Mówi się, że dobrze znamy klasykę i Aleksander Fredro niczym już nas nie zaskoczy...**

- Wprost przeciwnie. Uważam, że to właśnie Fredro jest na tyle wspaniały i wielki, że jego dramtopisarska twórczość może być odkrywana wciąż na nowo. Proszę zwrócić uwagę, że niezależnie od tego, której Fredrowskiej sztuki jest to przedstawienie, jeśli tylko zagrane dobrze, zawsze jest wspaniale odbierane przez publiczność i zawsze w tych samych miejscach scenicznej akcji jest żywa reakcja widowni. Myślę też, że Fredro tak znakomicie zbudował swoje postacie, że, z przeproszeniem, żaden dobry aktor nie musi zbyt wiele pracować nad tymi rolami, żeby osiągnąć właściwy efekt.

- **Występował pan w wielu rolach i sztukach, kreując bardzo różne postacie. Które z tych ról wspomina pan najlepiej?**

- Wiele postaci, które miałem przyjemność zagrać, do dziś darzę pewnym sentymentem, nawet gdy sięgam pamięcią do czasów dość odległych, np. lat sześćdziesiątych, kiedy grałem w „Żywocie Józefa”, Laertes w „Hamlecie” czy nawet role epizodyczne, np. w „Uciechach staropolskich”. Ze wszystkich ról zbiera się jakieś doświadczenie. Pamiętam np. wiele inscenizacji sztuk Sławomira Mrożka, w których brałem udział. Grałem i lubiłem grać wiele postaci w telewizyjnym teatrze. Wiem, że dobrze wychodziły mi role charakterystyczne. Ale oczywiście najpierw grałem role amanta. Kiedy jest się bardzo młodym aktorem, należy to do pewnego obyczaju. Wielu aktorów na początku swojej pracy przechodzi przez ten etap.

- **Pana brat Maciej jest również aktorem. Czy cała rodzina Damięckich ma już takie tradycje?**

- Szczegółowo mówiąc, w naszej rodzinie zawsze istniał wielki podziw dla sztuki. Mama pisała wiersze, a następnie wydała piękny pamiętnik, świetnie czytany, a ojciec zaczął od studiów filozofii na uniwersytecie, ale później wrósł w teatr. Myślę, że jego junacka i zawadiacka przeszłość także mu się w teatrze przydała.

- **Właśnie natrafiłem na biografię pańskiego ojca. Miał rzeczywiście wielką fantazję i odwagę, skoro będąc w 1918 roku jednym z dowódców niewielkiego oddziału POW zdobył się, wraz z kolegami, na zaatakowanie i to z pomyślnym skutkiem, całego pułku niemieckiego w koszarach ówczesnej Jabłonny (obecnie Legionowa). Nosił wówczas literacki pseudonim legendarnego adiutanta Napoleona - „Sulkowski”.**

- Ojciec umarł, gdy miałem 10 lat. Niewiele go pamiętam. Ale wiem, że mało o sobie mówił. Miał najwyższe odznaczenia. M.in. za wojnę na przełomie lat 20. otrzymał najwyższe odznaczenie - Krzyż Virtuti Militari. Co zaś się tyczy mojej rodziny, to pochodzi z północnego Mazowsza, z Damięta na ziemi ciechanowskiej, i miała ona dość bogatą przeszłość. Ale to już chyba inna opowieść.

Rozmawiał: Antoni LEWANDOWSKI